

Dlaczego wojny nie są uczciwie relacjonowane

11 lutego 2011

W podręczniku amerykańskiej armii do walki z rebeliantami, amerykański dowódca Generał David Petraeus określa Afganistan jako „wojnę percepcji... prowadzoną nieustannie przy użyciu mediów”. To, co naprawdę się liczy, to nie tyle codzienne bitwy z Talibami, lecz sposób w jaki te „przygody” są przedstawiane w Ameryce, gdzie „media mają bezpośredni wpływ na postawy kluczowych odbiorców”.

Czytając to, przypomniał mi się wenezuelski generał, który przewodził zamachowi stanu przeciwko demokratycznemu rządowi w 2002 roku. „Mieliśmy tajną broń”, chwalił się on. „Mieliśmy za sobą media, zwłaszcza telewizję. Trzeba mieć media po swojej stronie”.

Jeszcze nigdy tyle energii nie było oficjalnie poświęcone na zapewnienie współpracy dziennikarzy z tymi, którzy rozpętują drapieżne wojny, które, jak mówią przyjaźni mediom generałowie, stały się niekończące.

Powtarzając jak echo, słowa gadatliwych autorów wojen, takich jak odpowiedzialny za tortury „podtapiania” były wiceprezydent USA Dick Cheney, który przewidział „50 lat wojny”, planują oni stan permanentnego konfliktu, całkowicie uzależniony od trzymania na dystans wroga, którego imienia nie ośmielają się wymówić: społeczeństwa.

W Chicksands, Bedfordshire, w wydziale brytyjskiego Ministerstwa Obrony do spraw wojny psychologicznej, instruktorzy medialni poświęcają się temu zadaniu, zanurzeni w żargonowym świecie „dominacji informacyjnej”, „asymetrycznych zagrożeń” czy „cyber-zagrożeń”.

Dziela oni przestrzeń z tymi, którzy uczą metod przesłuchań,

które doprowadziły do powstania komisji śledczej w sprawie stosowania tortur przez wojska brytyjskie w Iraku. Dezinformacja i barbarzyństwo kolonialnej wojny mają ze sobą wiele wspólnego.

Oczywiście tylko żargon jest nowy. W sekwencji otwierającej mój nowy film, „The War You Don't See” („Wojna, której nie widzimy”), jest odniesienie do prywatnej rozmowy sprzed czasów WikiLeaks, z grudnia 1917 roku, pomiędzy Davidem Lloyd George, brytyjskim premierem z okresu Pierwszej Wojny Światowej, a CP Scottem, wydawcą „Manchester Guardian”.

„Gdyby ludzie rzeczywiście znali prawdę”, powiedział premier, „jutro wojna byłaby zakończona. Ale oczywiście jej nie znają i nie mogą poznać”.

Jako następstwo tej „wojny o koniec wszelkich wojen”, Edward Bernays, powiernik prezydenta Woodrowa Wilsona, ukuł termin „public relations” jako eufemizm dla propagandy, która „nabrała negatywnego znaczenia podczas wojny”.

W swojej książce „Propaganda” z 1928 roku, Bernays określa PR jako „niewidzialny rząd, który jest prawdziwą siłą rządzącą w naszym kraju” dzięki „inteligentnej manipulacji mas”.

Zostało to osiągnięte poprzez tworzenie „fałszywych rzeczywistości” i ich przyjmowaniu przez media (jednym z wczesnych sukcesów Bernays'a było przekonanie kobiet do publicznego palenia. Przez powiązanie palenia z wyzwoleniem kobiet, doczekał się on tytułów, które gloryfikowały papierosy jako „pochodnie wolności”).

Zacząłem rozumieć to jako młody dziennikarz podczas amerykańskiej wojny w Wietnamie. Podczas mojego pierwszego zadania, widziałem rezultat bombardowań dwóch wioszek oraz zastosowanie napalmu B, który płonie nawet pod skórą, wśród ofiar było wiele dzieci; drzewa były obwieszane kawałkami ciał.

Rozpaczanie nad tym, że „takie nieuniknione tragedie zdarzają się na wojnie” nie wyjaśniało dlaczego praktycznie cała ludność Południowego Wietnamu znajdowała się w ciągłym zagrożeniu życia ze strony swojego zdeklarowanego „sojusznika” czyli Stanów Zjednoczonych.

Określenia z zakresu PR takie jak „tłumienie” i „niezamierzone szkody” weszły do powszechnego obiegu. Prawie żaden dziennikarz nie używał słowa „inwazja”.

„Uwikłanie” i późniejsze „bagno” stały się wykładnią nowomowy, która przedstawiała zabijanie ludności cywilnej po prostu jako wynik tragicznych pomyłek i rzadko kwestionowała szlachetne pobudki najeźdźców.

Na ścianach głównych amerykańskich organizacji prasowych w Sajgonie często wisiały przerażające fotografie, które nigdy nie zostały opublikowane i rzadko bywały wysyłane, ponieważ jak powiedziano, wywołałyby one „sensację” w temacie wojny, niepokojąc czytelników i widzów, i dlatego zostały uznane za „nieobiektywne”.

Masakra w My Lai w 1968 roku nie była relacjonowana z Wietnamu, pomimo tego, że pewna liczba dziennikarzy wiedziała o niej (i o innych podobnych wydarzeniach), lecz przez niezależnego dziennikarza w USA, Seymoura Hersh'a. Tytuł na okładce magazynu „Newsweek” nazwał ją „amerykańską tragedią”, sugerując jakoby to agresorzy byli ofiarami: oczyszczający wizerunek, który został entuzjastycznie przyjęty przez Hollywood w filmach takich jak „Łowca Jeleni” i „Pluton”.

Wojna była pełna rys i tragedii, ale przyczyny pozostały niezbitcie szlachetne. Co więcej, została ona „przeigrana” z powodu nieodpowiedzialności wrogich, niecenzurowanych mediów.

Chociaż przeciwna prawdzie, ta właśnie „fałszywa rzeczywistość” stała się „lekcją” przyswojoną przez twórców dzisiejszych wojen i większość mediów. Jako następstwo Wietnamu, dziennikarze – korespondenci wojenni, stali się

podstawą wojennej polityki po obu stronach Atlantyku.

Poza godnymi uznania wyjątkami, odniosło to sukces, zwłaszcza w USA. W marcu 2003, mniej więcej 700 „wojennych reporterów” i operatorów kamer było świadkami amerykańskiej inwazji na Irak. Oglądając ich pełne podniecenia raporty można było odnieść wrażenie, że na naszych oczach znowu odbywa się wyzwolenie Europy.

Irakijczycy są na odległym planie, to tylko przemykające pionki, John Wayne wiecznie żywy.

Apogeum zostało osiągnięte poprzez tryumfalny wjazd do Bagdadu, kiedy telewizja pokazywała wiwatujące tłumy przy obalaniu pomnika Saddama Husajna. Za tą fasadą, skutecznie działali amerykańscy specjaliści od psychologicznej manipulacji, co zostało określone przez zignorowany raport amerykańskiej armii mianem „cyrku medialnego” z liczbą dziennikarzy niemal dorównującą Irakijczykom.

Rageh Omaar, który był tam jako przedstawiciel BBC, mówił w głównych wieczornych wiadomościach: „Ludzie wyszli na ulice aby witać [Amerykanów], pokazując znak „Wiktorii”. Ten obraz ma miejsce w całej stolicy Iraku”.

W rzeczywistości, o czym przeważnie nie mówiono, na większości terytorium kraju dokonywały się krwawy podbój i zniszczenie, dotykające całego społeczeństwa.

W filmie „Wojna, której nie widzimy”, Omaar wypowiada się z godną podziwu szczerością. „Tak naprawdę nie wykonywałem swojej pracy właściwie”, mówi. „Podnoszę rękę i przyznaję, że najbardziej niewygodne przyciski nie zostały naciśnięte wystarczająco mocno”.

Opisuje on jak brytyjska propaganda wojenna skutecznie zmanipulowała relację z upadku Basry, którą BBC News 24 nadała 17 razy. Ta relacja, jak mówi, była ogromną „komorą echa”.

Zwyczajny opis rozpiętości cierpień Irakijczyków podczas ataku znalazł bardzo niewiele miejsca w wiadomościach. Stojąc przy 10 Downing Street, wieczorem w dniu inwazji, Andrew Marr, będący wtedy redaktorem politycznym BBC, powiedział: „[Tony Blair] obiecał, że będą oni w stanie zająć Bagdad bez rozlewu krwi i że na koniec Irakijczycy będą świętować, i oba te punkty okazały się przekonująco prawdziwe...”

Poprosiłem Pana Marr o wywiad, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

Studia nad telewizyjnymi relacjami, przeprowadzone przez Uniwersytet Walijski w Cardiff oraz przez instytut Media Tenor, wykazały, że relacje te, nachalnie promowały stanowisko rządu oraz, że cierpienia cywilów były marginalizowane. Media Tenor umieścił BBC i amerykańską CBS na końcu listy zachodnich mediów pod względem czasu przeznaczanego dla przeciwników inwazji na Irak.

„Jestem całkowicie otwarty na zarzuty, iż zostaliśmy wprowadzeni w błąd”, powiedział prezenter BBC Jeremy Paxman, mówiąc o nieistniejącej irackiej broni masowego rażenia, do grupy studentów w zeszłym roku. „Ewidentnie wprowadzeni w błąd”.

Jako wysoko opłacany profesjonalny redaktor, nie wspomniał dlaczego on sam dał się wprowadzić w błąd.

Dan Rather, który był redaktorem wiadomości CBS przez 24 lata, był mniej powściągliwy. „Był strach w każdej redakcji w Ameryce”, powiedział mi, „strach przed utratą pracy...strach przed przyklejeniem jakiejś etykiety, np. braku patriotyzmu lub innej”.

Rather mówi, że wojna „uczyniła z nas stenografów”, oraz, że gdyby dziennikarze kwestionowali oszustwa, które doprowadziły do wojny w Iraku zamiast je wyolbrzymiać, inwazja nie nastąpiłaby wcale.

Ten pogląd jest obecnie podzielany przez wielu doświadczonych

dziennikarzy, z którymi rozmawiałem w USA.

W Wielkiej Brytanii, David Rose, którego artykuły w „Observer” odegrały główną rolę w fałszywym powiązaniu Saddama Husajna z Al-Kaidą i 11 września, udzielił dla mnie odważnego wywiadu, w którym powiedział: „Nie mam wytłumaczenia... To co nastąpiło [w Iraku] było zbrodnią, zbrodnią na bardzo wielką skalę”.

„Czy to czyni z dziennikarzy współwinnych?” Zapytałem.

„Tak... prawdopodobnie nieświadomie, ale tak”.

Jaka jest wartość dziennikarzy którzy mówią w ten sposób? Odpowiedź może dać wielki brytyjski reporter James Cameron, którego odważny i odkrywczy materiał filmowy, nakręcony wraz z Malcolmem Airdem, przedstawiający bombardowanie cywilów w Północnym Wietnamie, został zakazany przez BBC.

„Jeżeli my, od których oczekuje się śledzenia tego, co te łobuzy knują, nie ujawnimy tego, co znaleźliśmy, jeżeli nie przemówimy głośno”, powiedział mi, „kto wtedy będzie w stanie powstrzymać całe to draństwo przed powtórzeniem się?”

Cameron (który zmarł w 1985) nie mógł wyobrazić sobie nowego fenomenu takiego jak WikiLeaks, ale który na pewno by popierał.

W obecnej nawale oficjalnych dokumentów, szczególnie tych, które opisują tajne machinacje prowadzące do wojny – jak amerykańskie szaleństwo w sprawie Iranu – porażki dziennikarstwa są rzadko zauważane.

Prawdopodobnie powodem, dla którego Julian Assange wywołuje taką wrogość wśród dziennikarzy służących różnym „lobby”, tych, których rzecznik prasowy George’a W. Busha nazwał „współpracownikami”, jest to, że WikiLeaks i mówienie prawdy zawstydzają ich.

Dlaczego społeczeństwo musiało czekać na WikiLeaks aby dowiedzieć się jak naprawdę postępuje supermocarstwo? Jak

ujawnia dokument z przecieków brytyjskiego Ministerstwa Obrony, liczący 2000 stron, najbardziej skutecznymi dziennikarzami są ci, którzy w ośrodkach władzy są uważani nie za współpracowników, ale za „zagrożenie”.

Stanowi to niebezpieczeństwo dla prawdziwej demokracji, której „walutą”, jak powiedział Thomas Jefferson, jest „swobodny przepływ informacji”.

W swoim filmie, zapytałem Assange’a jak WikiLeaks poradził sobie z drakońskimi prawami dotyczącymi tajności, z których słynie Wielka Brytania. Odpowiedział on „kiedy patrzymy na dokumenty opatrzone klauzulą ściśle tajne, widzimy stwierdzenie, że przetrzymywanie informacji jest przestępstwem, jak również przestępstwem jest niszczenie informacji, tak więc jedynym możliwym wyjściem jest, iż musimy te informacje opublikować”.

Doprawdy, żyjemy w niezwykłych czasach.

Autor: John Pilger

Tłumaczenie: Andrzej Głośniak

Źródło oryginalne: www.johnpilger.com

Źródło polskie: [Lewica](#)